

CIEMNA NOĆ PAŹDZIERNIKOWA

A NIGHT IN A LONESOME OCTOBER

ROGER ŻELAZNY

Książkę dedykuję Mary Shelley, Edgarowi Allanowi Poe, Bramowi Stokerowi, sir Arthurowi Conan Doyle'owi, H.P. Lovecraftowi, Rayowi Bradbury'emu, Robertowi Blochowi, Albertowi Paysonowi Terhune'owi, i twórcom licznych starych filmów -

Dziękuję.

Jestem psem obronnym. Nazywam się Niuch. Od niedawna mieszkam na przedmieściach Londynu ze swoim panem Kubą. Uwielbiam Soho nocą, bardzo mi się podobają cuchnąca mgła i tonące w cieniach uliczki tej dzielnicy. Po zmroku robi się tam cicho i chadzamy na długie spacery. Na Kubie ciężko rzucona dawno temu kława i to z jej powodu większą część swej pracy musi wykonywać nocami. W przeciwnym wypadku doszłoby do czegoś znacznie gorszego. Kiedy mój pan zajmuje się robotą, ja pilnuję. Gdy tylko ktoś nadchodzi, zaczynam wyć. Jesteśmy strażnikami kilku kław i to nasze zadanie jest bardzo ważne. Muszę mieć także oko na Rzec z Kręgu, Rzec z Szafy i Rzec z Kufra - o Rzeczach z Lustra nawet nie wspominam. Za każdym razem, kiedy próbują się wydostać, robię im prawdziwe piekło. Boją się mnie, aczkolwiek nie mam pojęcia, co bym począł, gdyby wszystkie postanowiły spróbować ucieczki jednocześnie. Niemniej pilnowanie ich stanowi świetne ćwiczenie moich umiejętności i często na nie warczę.

Od czasu do czasu przynoszę Kubie przybory - na przykład jego różdżkę lub wielki, pokryty wiekowymi napisami sztylet. Zawsze wiem, kiedy ich potrzebuje, w końcu moja praca polega między innymi na tym, bym się w podobnych kwestiach orientował. A ja stanowczo wolę być psem niż tym, czym byłem, zanim pan mnie przyzwał i wdrożył do obecnego fachu.

Tak więc chadzamy na spacer, Kuba i ja, a napotykanego prosto czworonoga zazwyczaj czują przede mną lęk. Z niektórymi lubię sobie pogawędzić i wymieniamy się wówczas uwagami

na temat psiej pracy oraz obyczajów i wymagań naszych panów. Zwykle jednak po prostu je zastraszam.

Pewnej niezbyt odległej nocy, gdy bawiliśmy właśnie na cmentarzu, przypałał mi się do mnie stary, zatrudniony u tamtejszego dozorcę kundel i przez chwilę rozmawialiśmy.

- Witaj, jestem psem obronnym.

- Ja też.

- Mam was na oku.

- Ja ciebie też.

- Dlaczego twój człowiek kopie tę wielką dziurę?

- Potrzebuje kilku rzeczy, które leżą tu pod ziemią.

- Ach. Ale wydaje mi się, że nie powinien tego robić.

- Mógłbym może zobaczyć twoje zęby?

- Owszem. Proszę bardzo. A pokażesz mi swoje?

- Oczywiście.

- Hmm, w zasadzie niech sobie kopie. Myślisz, że moglibyście na odchodnym zostawić gdzieś w pobliżu dużą kość?

- Sądzę, że da się to załatwić.

- To wy byliście tutaj w zeszłym miesiącu?

- Nie, konkurencja. My miesiąc temu załatwialiśmy sprawunki gdzie indziej.

- Tamci nie mieli ze sobą psa.

- Tym gorzej dla nich. I co zrobiłeś?

- Naszczekałem się co niemiara. Ostatecznie zjadły ich nerwy i zniknęły.

- Świetnie. W takim razie zapewne nadal ich wyprzedzamy.

- Długo już jesteś ze swoim człowiekiem?
- Szmata czasu. A ty od dawna pilnujesz cmentarza?
- Od urodzenia.
- Podobają ci się to?
- Da się wyżyć – odparł.

Kuba potrzebuje wielu rozmaitych składników. A to dlatego, że niebawem czeka nas wyzwanie szczególnej natury. Być może jednak najlepiej będzie, jeśli opowiem o wszystkim dzień po dniu.

Pierwszy października

Ruszyłem na obchód domu. Rzecz z Kręgu zmieniła kilka razy postać, przybierając ostatecznie formę psiej damy o ponętnych kształtach i wielce przyjaznym usposobieniu. Nie dałem się jednak zwieść i nie przerwałem Kręgu. Uwięziony stwór nie opanował kwestii doboru odpowiedniego zapachu.

- Próbuje, próbuje. Byle tak dalej – pochwalilem.
- Zobaczysz, kundlu, jeszcze dostaniesz za swoje – fuknęła.

Przyjrzałem się wszystkim naszym lustrom. Zamknięte w nich Rzeczy bełkotliwie szeptały i wiły się. Zademonstrowałem im swoje kły i przestały się wić.

Rzecz z Kufra – ledwie tylko wyczuła, że węższą w pobliżu – zaczęła gwałtownie łomotać w ścianki, syczeć i prychać. Warknęłam. Znow syknęła. Zastosowałem więc wyrafinowany, głuchy bulgot prosto z gardła. Zamknęła się.

Następnie udałem się na strych i sprawdziłem, co z Rzeczą z Szafy. Gdy wchodziłem, drapała w drzwi, ale kiedy się zbliżyłem, ucichła.

- Jak tam w środku? – zapytałem.
- Byłoby znacznie lepiej, gdyby pewien ktoś dał się wreszcie przekonać, chwycił łapami klucz i przekreślił.
- Lepiej? Być może dla ciebie.
- Mógłbyś w zamian dostać górę wspaniałych kości. Wielkich, świeżych, ociekających tłuszczem, z masą mięsa.
- Dopiero co jadłem, dziękuję pięknie.
- Czego więc potrzebujesz?
- Niestety, nic szczególnego nie przychodzi mi do głowy.
- Cóż, ja chciałbym się stąd wydostać. Zastanów się, czym mógłbym cię zadowolić i porozmawiajmy.
- Musisz poczekać. Z czasem dostaniesz szansę.
- Nie przepadam za czekaniem.
- Cóż, trudno.
- Goń się, psie.

W odpowiedzi nagannie cmoknąłem i odszedłem, jako że Rzecz zaczęła się posługiwać znacznie bardziej grubiańskim słownictwem.

Wróciłem na dół i zajrzałem do biblioteki, gdzie jak zwykle snuły się zapachy przykurzonych ksiąg i kadzidła, przypraw, ziół i innych interesujących kategorii przedmiotów. Potem potrudziłem do salonu, z którego przez cały dzień wyglądałem przez okno. Stróżowałem. To moja praca.

Drugi października

Zeszłej nocy ponownie wybraliśmy się na spacer. Tym razem szukaliśmy mandragory, rosnącej na odległym polu – w miejscu, gdzie zabójstwa dokonał kiedyś ktoś inny. Pan owinął znaleziony korzeń w jedwab i zaniósł go prosto do swojej pracowni. Słyszałem, jak wdał się w pogodną pogawędkę z Rzeczą z Kręgu. Lista potrzebnych Kubie składników jest bardzo długa, a wszystkie należy zdobyć w ściśle określonej kolejności i czasie.

W naszej bezpośredniej okolicy zauważyłem kocicę imieniem Szarokotka. Skradała się, kluczyła z kocim wdziękiem, zaglądała nam do okien. Zazwyczaj nie mam wiele przeciwko tym

stworzeniom. Gonię je albo i nie, zależy. Szarokotka jednak jest pupilką Szalonej Jill, która mieszka za wzgórzem, nieco bliżej miasta, i przybyła tu oczywiście na przespjegi dla swej pani. Zawarczałem, by wiedziała, że została wykryta.

- Coś wcześniej zacząłeś dziś stróżować, wierny Niuchu – zasyczała.
- Coś wcześniej dzisiaj szpiegujesz, Szara – odparłem.
- Cóż, każdy ma swoje obowiązki.
- Co racja, to racja.
- A zatem, zaczęło się.
- Owszem.
- I dobrze idzie?
- Jak na razie, nie mogę narzekać. A wam?
- Również. Cóż, chyba rzeczywiście najprościej jest o pewne sprawy po prostu pytać. Przynajmniej na tym etapie.
- ...z tym, że koty wolą działać w ukryciu – dodałem.
- Zarzuciła łebkiem, uniosła łapkę i przyjrzała się pazurkom.
- Podchody niosą ze sobą wiele swoistych przyjemności...
- Swoiście kocich – zauważyłem.
- ...a w dodatku można w ten sposób zdobyć wiele ciekawych wiadomości.
- Na przykład...?
- Na przykład wiem, że nie jestem tu dzisiaj pierwszym gościem. Mój poprzednik zostawił po sobie ślad. Byłeś tego świadom, wierny stróżu?
- Nie – przyznałem. – Kto taki?
- Puchacz. Nocny Powiew. Sługa Morrisa i MacCaba. O świcie zauważyłam, jak stąd odlatuje. A za domem znalazłam pióro. Pióro posypane proszkiem ze startej mumii. Próbowali sprowadzić na was chorobę.
- Dlaczego mi o tym mówisz?
- Być może dlatego, że jestem kotką, lubię działać arbitralnie i od czasu do czasu spełnić dobry uczynek. Zabiorę to pióro i ukryję w porastającym ich okno bluszczu.
- Wczoraj po spacerze z panem powalałem się trochę po okolicy, byłem też za wzgórzem – powiedziałem. – Przechodziłem nieopodal waszego domu. I zauważyłem pod samymi drzwiami Karbida, czarnego węża, który mieszka w brzuchu szalonego mnicha Rastowa. Ocierał się o framugę, zrzucał łuski.
- Och! A dlaczego ty mi o tym mówisz?
- Mam w zwyczaju spłacać długi.
- Tacy jak my nie powinni ich zaciągać.
- To zostanie między nami.
- Nietypowe z ciebie psisko, Niuchu.
- Dziwna z ciebie kocica, Szarokotko.
- Cóż, takie właśnie powinny być kocice, pozwolę sobie zauważyć.

Mgnienie potem zniknęła z gracją wśród cieni. Dokładnie tak, jak powinna.

Trzeci października

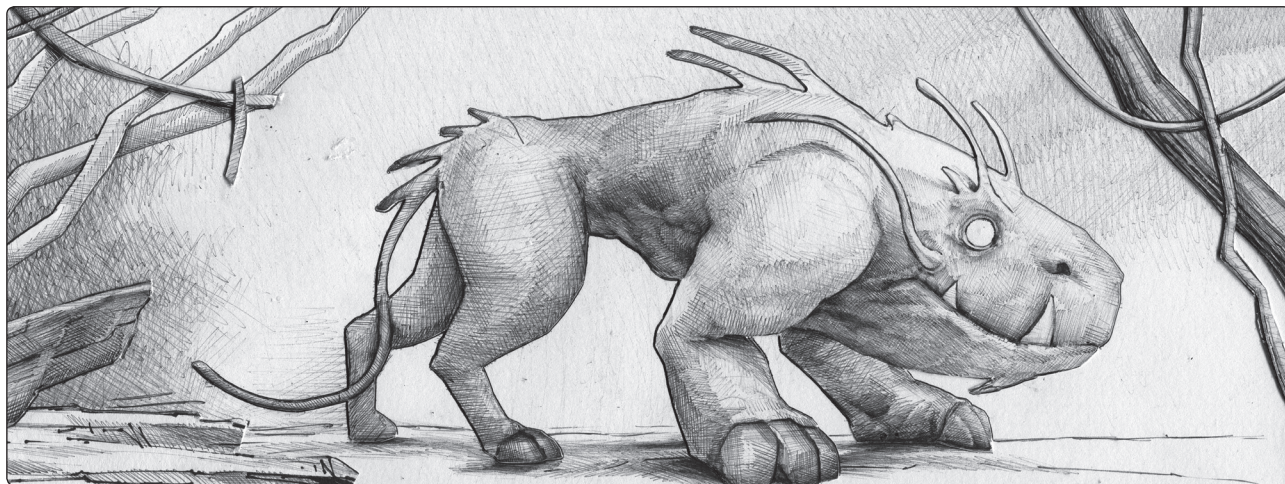
Ubiegłej nocy wybraliśmy się na kolejny spacer. Tym razem pan polował. Wdział swój płaszcz i rzucił do mnie:

- Niuch, aport!

Z samego już tonu wywiodłem, że ma na myśli sztylet. Przyniosłem mu ostrze w zębach i wyruszyliśmy. Towarzyszyło nam zmienne szczęście. Chcę przez to powiedzieć, iż Kuba owszem, zdobył wszelkie potrzebne składniki, lecz okupiliśmy to niemalą zawieruchą i niebywałą ilością zmitręzonego czasu. Pod koniec łowów zostaliśmy wykryci. Ostrzegłem pana i rzuciliśmy się do ucieczki. Pościg trwał długo, więc ostatecznie zostałem nieco z tyłu i ugryzłem naszego prześladowcę w nogę. Dopiero wówczas zdołaliśmy umknąć na dobre, unosząc ze sobą

WARTOŚĆ SENTYMENTALNA

ARTUR ŚLIWIŃSKI



Daniel Grzeszkiewicz

Krajobraz za oknami zlewał się w zielono-żółtą smugę, a muzyka grała głośno i z siarą, tak jak lubił.

Przyjrzał się mapie wyświetlanej na szybie. Zaraz powinien zjechać z głównej drogi. Zredukował nieco prędkość i na chwilę ostro ściągnął stery w lewo. Począł, aż pojazd wydłbie ze skreću, potem znowu przyspieszył. Przeciężenie wcisnęło go w fotel.

Przemknął przez krótką, obsadzoną drzewami alejkę, minął słup bramy o milimetry i z pełnym impetem wpadł na dziedziniec. W ostatniej chwili uniknął zderzenia z wielką fontanną i zatrzymał się gwałtownie tuż przed wejściem do rezydencji. Rozsypany przez antygrawitacyjny napęd żwir poleciał na schody.

Sprzątający je właśnie człowiek skrzywił się z niesmakiem.

– Jeszcze jeden – mruknął do wychodzącego z domu lokaja. – Nienormalny chyba.

Lokaj wzruszył ramionami.

– Jak oni wszyscy.

Służący podszedł do samochodu i czekał cierpliwie, aż kierowca wysiądzie.

– Pozwoli pan, że odprowadzę pojazd do garażu. Bagaże proszę zostawić, będą czekać w pokoju.

Mężczyzna potrząsnął głową.

– Dam sobie radę, mam tylko to. – Podniósł mały kuferek.

– Jak pan sobie życzy. Jego lordowska mość kazał przekazać, że jest z pozostałymi uczestnikami za domem, zaprasza serdecznie. Musi pan przejść do...

– Sam trafię, dziękuję.

Błądził chwilę po pokojach, oglądając antyczne meble i portrety przodków, wreszcie wyszedł przez salon do ogrodu. Było tam już dużo mniej zadęcia niż w środku, całość wyglądała dość naturalnie, chociaż tu i ówdzie projektant powtórzył idiotyczne rzeźby przedstawiające bohaterów czasów Ekspansji.

Przyjrzał się najbliższej postaci. Tabliczka była mocno zniszczona, pochylił się, próbując odczytać napis.

– Kapitan Nyoka, dowódca pierwszej fali – usłyszał za plecami. – Żona lubiła historię. Dzięki niej zgromadziłem większość kolekcji.

Odwrócił się i przyjrzał starszemu mężczyźnie w sfatygowanym mundurze Federacji.

– Miło wreszcie poznać lordowską mość osobiście. Jon Lonhar.

– Pułkownik Wheaton-Smith. Witam.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Przykro mi z powodu śmierci małżonki.

– Swoje pożyła, co robić. Trzeba żyć dalej, nieprawdaż?

Milczeli chwilę.

– Zapraszam w głąb parku, kazałem właśnie podać napoje do wschodniej altany.

Szli alejkami pomiędzy labiryntem z żywopłotu.

– Dobrą miał pan podróż?

– Załapałem się na ostatnie połączenie w tym tygodniu. Miałem szczęście. Gdy dostałem powiadomienie, że aukcja się jednak odbędzie, byłem już prawie w drodze do sąsiedniego układu.

– To nie była łatwa decyzja. Wie pan, to wszystko ma dla mnie wartość sentymentalną.

– Rozumiem. Cieszę się, że zdążyłem. Mam jednak parę pytań, opisy przedmiotów nie były wystarczające...

Urwał, bo zza krzaków wyskoczył potwór. Wielki i kąpiący słuzem z potężnej zębatej paszczki zdolnej przepolować stalową belkę jednym ugryzieniem. Bestia przyglądała im się chwilę, potem ruszyła truchtem w stronę Lonhara.

Stał jak skamieniały, gdy oparła przednie łapy na jego klatkę piersiową. Pozwolił się dokładnie obadać czułkom wystającym z łba monstrum. Czuł fale gorącego oddechu na twarzy. Nie cuchnęło tak bardzo, jak się tego spodziewał.

– Moja czempionka – w głosie lorda słychać było autentyczną dumę. – Dwanaście nagród, jak na razie.

– To haliks, prawda? Nie wiedziałem, że dają się udomowić.

– Do końca nie bardzo, na nią też trzeba uważać. – Starzec poklepał ostrożnie kolczasty grzbiet. – Czasem jej odbija. O! Lubi pana, niech mnie! Lonhar wytarł policzek ze sluzu.

– Urocza. Co one jedzą?

– Właściwie wszystko. No, poszła już!

Obserwowali, jak czerwona góra mięśni, kłów i kolców znika w mgnieniu oka między drzewami. Po chwili z krzaków wyskoczyła sfera maleńkich samców i pomknęła za swoją panią.

– Trzymam cały harem, w samotności dziwaczej, wie pan.

Jon wyobraził sobie haliksa z rozchwiejaną psychiką i mimowolnie się wzdrygnął.

– Podczas wojny używaliśmy ich w batalionach szturmowych. – Lord spochmurniał. – To były parszywe czasy.

Przeszli przez tunel utworzony z odpowiednio przyciętych roślin. Na jego końcu znajdowała się zadaszona konstrukcja ozdobiona wymyślnymi reliefami. Pośrodku ustawiono wielki kamienny stół. Spośród siedzących dookoła osób najbardziej wyróżniał się czerwony na twarzy staruszek wymachujący żywiołowo rękami.

– Bzdury opowiadasz, młody człowieku! Oczywiście, że Federacja jest ostatnim bastionem wolności! Możecie siebie, za przeproszeniem, okłamywać ile chcecie, ale u nas wszyscy wiedzą, że w tym waszym cesarstwie nie ma...

– Oficjalnie jesteśmy republiką. – Siedzący naprzeciwko chudy młokos przerwał mu bezceremonialnie. – A to, jak nazywa się nasza głowa państwa, to nasza sprawa.

– Akurat! – Starzec poczerwieniał jeszcze bardziej. Kontynuował, nie zważając na szturchającą go coraz silniej małżonkę. – Trzyma was za mordę

BESTIARIUSZ FLOCKIEGO

PIOTR KENC

...istoty, o których będziemy tu opowiadać, zapewne nie każdemu przypadną do gustu. Wiemy jednak, że z góry musimy się z tym pogodzić, i mówimy o tym już teraz, jeszcze pełni otuchy, abyśmy potem mogli prowadzić wykład bez przerw i zakłóceń. Niech to jednak nikogo nie zwiedzie. Jak już uprzednio była mowa, jest to efekt naszych poszukiwań i wieloletnich badań, które wraz z profesorem Flockim prowadziliśmy podczas naszych wojaży i niebezpiecznych peregrynacji.

Uprasza się o uwagę.

Absintiala

Jest nie tyle potworem, co raczej zabójczą zwierzoroślą. Dojrzałe absintiale są ludzaco podobne do drzew, jednak nie mają liści ani nie owocują w zwykły sposób. Ich dość nisko i jakby palczasto rozgałęziające się konary posiadają spękaną i gruzłowatą korę, podobną do kory bardzo starych dębów. Z gałęzek zwisają strzępki niezwykle delikatnych jasnych włókien, podobnych pajęczym niciom. Podczas jesiennych wichur ich pasemka są obrywane i mogą być przenoszone wiatrem na znaczne odległości. We włóknach tkwią niewidoczne dla oka pasożytnicze zarodniki. Biada mężczyźnie, na którego ciało czy odzież opadnie taki szybujący strzępek! Nici przyklejają się do ciała, a zarodniki niepostrzeżenie wnikają pod skórę.

Człowiek taki, niczego nieświadom, zaczyna wkrótce sam wypuszczać jeszcze subtelniejszą grzybnię, która rychło oplata jakąś niewiastę, powodując, że zakażona para zaczyna odczuwać do siebie nieodparty, gwałtowny pociąg. Nawet jeśli wcześniej była sobie wzajem zupełnie obojętna czy wręcz wroga, bez względu na wszelkie przeszkody. Taka jest bowiem siła absintialnej miłości. Zjawisko to wykorzystywali niegdysiejsi poeci i dramatopisarze, nie wspominając wszelako o tym, do czego podobne opętlenie wiedzie.

Oto gdy zarażony mąż z niewiastą położą się ze sobą i obłapią w ciasnym uścisku, wówczas, w chwili największego uniesienia, para zostaje nagle zamknięta w śmiertelnym kokonie sieci pędów subtelnych, wyrastających z ich własnych ciał. Zarodnia zapewnia sobie w ten sposób pożywienie pod przyszły rozwój, albowiem w miejscu, gdzie skołała para w miłosnym uniesieniu, wyrasta absintiala, która zanim się ukorzeni, czerpie pokarm z wypełnionych cząstkami rozkoszy ciał.

Dlatego często u jej podnóża można dostrzec, oplecione mchem i przeorośnięte tkanką drzewną, kości ludzkie.

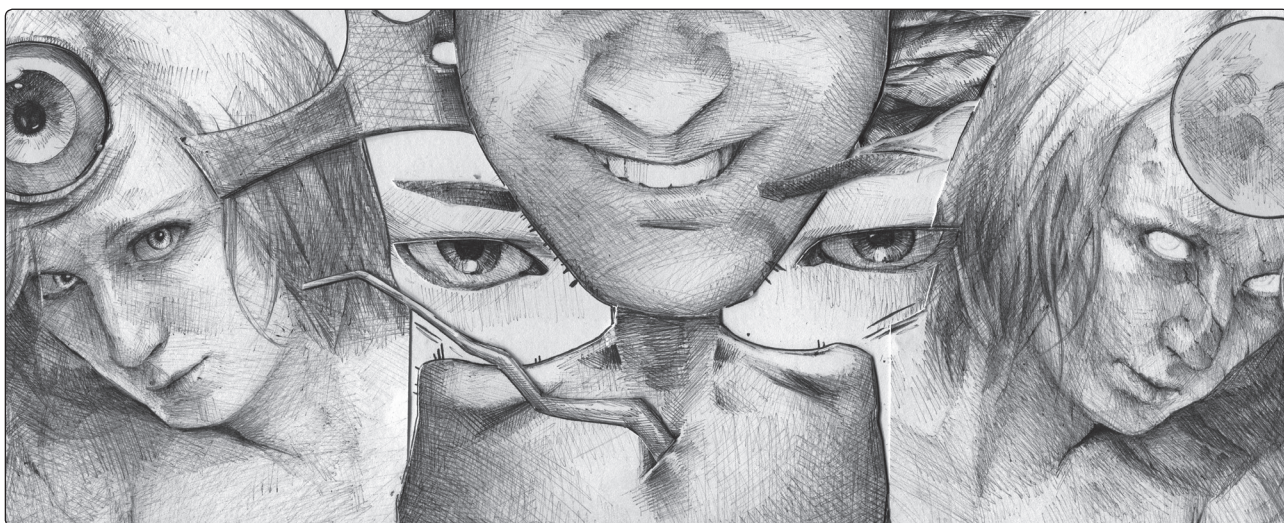
Abalienilla

Stworzenie to zaliczane jest do potworów, ale nie jest groźne dla człowieka, którego zresztą pod wieloma względami przypomina. Jego korpus i kończyny podobne są do ludzkich, ale daleko wątlesze, blade i zupełnie bezwłose. Na cienkiej i długiej szyi nosi miast głowy coś przypominającego wielki, szary i kosmaty kwiat w kształcie lejka. Do leja tego zlatują się owady, które są jedynym pożywieniem abalienilli, ponadto służą on do chwytania wody deszczowej.

W umęczonych dłoniach abalienilla stale nosi swoją twarz o wielkich, niebieskich oczach, nosi ją niby coś ciężkiego, kłopotliwego, niewygodnego, co mogłoby upaść na ziemię i potłuczone, zawadzać na drodze. Abalienille są niemrawe i nieśmiałe. Rzadko spotykane, bytują zwykle wśród zarośli na skrajach łąk leśnych, gdzie czytają niezwykle ostatnio popularnych autorów nurtu *Splatter und Rag*.

Butulianie

Jest to bardzo stara sekta. Jej członkowie mniemają, że natura ludzka nie różni się w sposób zasadniczy od natury niektórych potworów, co więcej, sądzą, że bycie człowiekiem może i powinno stanowić tylko stadium na drodze do natury innego rodzaju, uważanej przez nich za doskonalszą. Mianowicie – do natury monstrum zwanego butulem albo roseusem, któremu przypisują zdolność ciągłego odradzania się po śmierci i zachowywania wspomnień z poprzednich wcieleń.



Szczegóły praktyk prowadzących do tej zmiany stanowią głęboką tajemnicę, nie tylko z powodu prześladowań, jakie mogłyby spaść na wyznawców, ale także dlatego, że sekciarze ci uważają się za wybrańców, a społeczność ludzką mają w pogardzie. Wiadomo, że praktyki te oparte są na wielostopniowych misteriach, których zwieńczeniem ma być przeistoczenie się w roseusa, a przygotowaniem do poszczególnych misteriów są zarówno grupowe obrzędy, jak i wieloletnie samotne ćwiczenia.

Bartłomiej Flocki stwierdza, że do sekty tej należało wiele znanych osobistości, jednak nie wymienia żadnego nazwiska. Istnieje zagadnienie pism butuliańskich. Na przykład anonimowe herbarium „Ogród różany” czy popularne swego czasu „Kantyczki ubogiego” zostały uznane za pisma butulian i były publicznie palone, a za przechowywanie tych ksiąg, ich odpisów czy choćby cytowanie treści nadal grożą kary. Według Flockiego butulianie pozostawili znaczną ilość tekstów obrzędowych i doktrynalnych, skierowanych do współwyznawców (a poniekąd także do tych, którzy nic jeszcze o tym nie wiedząc, mieli w przyszłości do nich przystać), ale niemożliwych do rozpoznania przez niewtajemniczonych czytelników. Pisma te zatem wciąż są w obiegu. Krążą pod postacią jarmarcznych broszur, uczonych komentarzy, ksiąg zawierających baśnie, a nawet pobożne rozprawy, bowiem przyrządzający je butulianie potrafili w niewinnie wyglądającą opowieść wplatać swe szkaradztwa w taki sposób, że tylko ten, kto był jednym z nich, potrafił znaleźć tajemną furtkę do ukrytego przesłania na przykład w jakiejś niepozornej sprzeczności lub dziwnym rytmie słów.

Flocki odwołuje się do przykładu podzielonego na dwie części przedmiotu i powiada, że podobnie jak posiadanie jednej połowy takiego przedmiotu jest warunkiem rozpoznania drugiej części, tak inicjacja w misteriach butuliańskich daje adeptomu zdolność rozpoznania innych adeptów i ukrytej mowy ich pism. Zdolność ta pozwala widzieć historie ukryte w historiach i rozpoznać, dla przykładu, że rozgąłężająca się intryga opowieści jest w swej prawdziwej istocie przedstawieniem pewnego istotnego dla sekciarzy zajścia, a naiwnie drobiazgowy opis jakiejś rośliny – powtórzeniem sekciarskiego rytuału.

Kłaśnica

Kłaśnica jest żeńskim potworem człekopodobnym, wielce przy tym przebiegłym i wszetecznym. Odpowiednio ubrana wygląda jak zwykle dziewczę o smukłej budowie ciała. Po jednym można ją wszak nieomylnie rozpoznać: zamiast dwóch piersi – jak to jest u kobiet ludzkich – posiada ona ich czworo, niedużych, lecz krągłych. Jedna ich para jest na zwykłej wysokości, druga zaś nieco poniżej. Dotknięcie ustami tych drugich piersi wywołuje u mężczyzn nieuleczalny obłęd.

Kłaśnice posiadają niezwykle zdolności w dziedzinach tkactwa, łgarstwa, gry na instrumentach muzycznych, układania wierszy, tworzenia pozorów i manipulowania. Są to stworzenia niezmordowanie kokieterijne i przedsiębiorcze, pełne zacieklej determinacji w dążeniu do celu, a ich fizyczna wątlność i pozorna kruchość skrywa niezrównaną drapieżność i bestialstwo.

Charakterystyczne jest to, że na ofiary swe najchętniej wybierają młodzieńców przesadnie łagodnych i pełnych skrupułów, by cierpliwie przekuwać ich najlepsze odruchy w niezwykle silną więź, której mężczyzna nie jest w stanie przerwać samodzielnie. W ten sposób całkowicie ich sobie pod-

porządkują, doprowadzając do fanatycznego zaślepienia i obłędu, tak iż w końcu człowiekowi takiemu zło wydaje się dobrem, a zgnilizna i plugawy odor cudownym aromatem.

Taki opętany przez kłaśnicę biedaczyna zasługuje na litość, ale nie można mu jej, niestety, okazać inaczej niż przez szybką kaźń, albowiem do śmierci pozostaje on jej bezwolnym narzędziem, do tego bezwzględny i niebezpieczny niby prawdziwy potwór.

Na kochanki kłaśnic z rodzaju niewieściego urok ów czarici nie oddziałuje i do woli czerpią one wszeteczne rozkosze z wszelakiego cielesnego obcowania.

Zgrzebka

Zgrzebki mają tak wiele podobieństwa do kłaśnic, że niektórzy uważają je za ich odmianę. Bezpieńność (posiadają bowiem szczątkowe piersi w postaci czterech brodawek podobnych do czterech miedziaków na środku płaskiego korpusu) rekompensuje im niejako środkowa część ciała, mocno wybudowana przy bardzo smukłej talii, a przy tym kształtna i jędrna. Organ ten przyciąga niby magnes uwagę mężczyzny, a w połączeniu z charakterystycznym, sopranowym szczebiotem zgrzebek wywołuje u ofiary zadziwienie, które łatwo przechodzi w stan głębokiego osłupienia. Szczebiot ten ma osobliwe właściwości.

Ci, którzy słyszeli ów zaśpiew (lecz dzięki środkom ochronnym nie ulegli mu do końca), powiadali zgodnie, że mając wszelkie pozory artykułowanej mowy kobiecej, dźwięk ten zdaje się jakąś jakby mieszaniną jęku, łkania i śmiechu, mieszaniną, która, niby kornik w drewnie, drąży w umyśle jakieś nowe i nieoczekiwane połączenia, wywołując przy tym wrażenie ekstatyczności. Stumaniały mężczyzna jest wówczas wydany na dalsze działania ze strony zgrzebek, które przebiegają podobnie jak u kłaśnic i mają ten sam skutek.

Biesiec

Sylwetkę bieśca porównuje się do sylwetki wysmukłego psa gończego, posiada on ponadto błoniaste skrzydła, a na jego długiej szyi tkwi łeb kozła. Pochodzenie monstrum jest nieznane; niektórzy powiadają – jednak my nie musimy w to wierzyć – że rodzi go koza w takim to rzadkim przypadku, gdy pokryje ją pies, w którego kudły wczepił się nietoperz.

Szkielet tego potwora jest do obejrzenia w głównej sali ratusza w Mudlu.

Jaźń wędrująca

Zdarza się, że człowiek we własnym umyśle ni stąd, ni zowąd słyszy jakby dźwięki podobne do zawodzenia lub szeptów w nieznanym języku. Mowa ta brzmi znajomo, choć wiemy, że znikąd jej znać nie możemy i nigdy przedtem nie słyszeliśmy. Mogą to być oznaki tego, że w umysł nasz wniknęła kiedyś istota zwana jaźnią wędrującą. Po omamach za jakiś czas może nastąpić owdładnięcie.

Człowiekowi owdładniętemu będzie się niekiedy wydawać, że jest kimś innym, niż jest w rzeczywistości; lub że jest po części i jednym, i drugim. Zaczyna on doświadczać myśli dotąd nieznanych i wyraźnie przypomina sobie obce słowa. Niekiedy dochodzi do tego, że człowiek taki, czy może raczej jego ciało, dopuści się czynów, do których przedtem nie byłby zdolny i które nawet na myśl by mu nie przyszły. Potem zaś, gdy owdładnięcie osłabnie

NA DRODZE DO GOTENGAU

ARTUR SZREJTER

Daniel Grzeszkiewicz



Wielka puszcza nad Narwią, wiosna 1941 roku

1.

Z tumanu kurzu spowijającego piaszczystą drogę wciśniętą między dwie ściany lasu wylaniały się samochody. Trzy osobowe kübelwageny z odsłoniętym dachem i siedem ciężarówek Opla o płóciennych budach. Szare burtę wozów straszyły kancianym znakiem w kształcie stylizowanej litery A.

Trzech mężczyzn – choć właściwie najmłodszy dopiero wkraczał w wiek męski, a najstarszy wyglądał tak leciwie, że wątpliwe, aby jeszcze był mężczyzną – patrzyło na widziane po raz pierwszy pojazdy. Ze swojego stanowiska na wzgórzu, przy resztkach studziennej cembrowiny, bezużytecznie tkwiącej pośrodku ruin dawno opuszczonej wioski, doskonale widzieli drogę. Nie pojmowali, czym są zbliżające się wehikuly, nie okazywali wszakże zdumienia, gdyż nie mieli w zwyczaju dziwić się czemukolwiek.

– Jadą obcy. Czuję krew... Dużo krwi – mruknął Młody, głęboko wciągając powietrze, niczym węszący pies.

– A ja tylko gorąc cholerny – odrzekł Tatko, patrząc z góry na czubek jasnzej czupryny Młodego.

– A ja tam gówno czuję. – Stary ciężko wsparł się na łopacie. Wprawdzie wszyscy trzej trzymali proste, drewniane łopaty własnej roboty, ale tylko Stary napierał na swoją tak mocno, jakby na zgarbionym grzbiecie czuł ciężar całego nieba.

– Bo tylko gówno masz we łbie – zażartował chłopak, ale zaraz zamilkł, spiorunowany spojrzeniem z dnia na dzień coraz bardziej blaknących oczu Tatki. Naburmuszył się. „Przecież prawdę mówię, Stary nie już nie pamięta, we łbie ma tylko pustkę”.

Od bardzo dawna wiosna nie była aż tak upalna. Słońce wypalało ziemię, niektóre liście zaczynały się żółcić, choć do jesieni jeszcze ho, ho, a nawet dalej. Tatko westchnął, nie lubił pracować w gorącu, a wyglądało na to, że tym razem czeka ich mnóstwo ciężkiej roboty.

– Tatko, co to jest?

– Co to ja wiedźma, żeby wiedzieć? Jej zapytaj, jak wrócimy do chaty. Chyba wozy jakie, ale bez koni. Samojedzy... Ta, ładne słowo. A skoro to wozy, i to wielkie, w środku musi być kupa obcych. Oj, trudno będzie, trudno...

– Tatko, jak myślisz... – zaczął Młody, ale niespodziewanie przerwał mu Stary.

– Tak. Ona już wie.

Tatko i Młody spojrzeli na siebie znacząco. Czasem Stary rzucał coś zaskakującego, jakby jednak te wszystkie lata nie do końca wyżarły mu pamięć. Miał rację, jasnowłosa na pewno już wiedziała o obcych.

– No to do roboty – westchnął najmłodszy.

Zarzucili łopaty na ramię i ruszyli pośród rozsypujących się resztek niegdyś bogatej wsi, wzniesionej przez czarno odzianych przybyszów w czar-

nych kapeluszach. Na myśl o nich Tatko splunął z odrazą. Jakże to oni się zwali... Przypomni sobie... albo i nie. A suka tam z ich plugawym imieniem!

Przeszli przez zarośnięte krzakami dawne ogródki przydomowe, po które, rzecz dziwna, nie chciał sięgnąć żarłoczny przecież bór. Jakby ziemię tę skazyły motyki obcych i nawet czas nie zdołał jej oczyścić. Na granicy lasu Młody odwrócił się raz jeszcze. Wielkie wozy bez koni dojeżdżały do rozległej pustacji w zakolu rzeki.

Trzej mężczyźni przebyli krętą leśną ścieżkę i dotarli do ponurej polany, zazdrośnie otoczonej rozłożystymi dębami. Młody nigdy nie wkraczał w cień olbrzymów, czuł, że mogłoby mu się stać coś złego. Za to Stary lubił pod nimi wypoczywać. Nie bał się, pewnie dlatego, że miał sieczkę we łbie.

– Tatko, pokaż jeszcze raz – poprosił Młody.

Tatko uśmiechnął się, bo synek bardzo chciał nauczyć się tej sztuczki. „Ale jeszcze nieprędko, mały, bo tu nie krzepa potrzebna, a wyczucie” – pomyślał, jednak nie rzekł słowa.

Rozstawił nogi, mocno ujął koniec trzonka łopaty, wziął szeroki zamach zza głowy, lekko wychylił tułów w lewo, większość siły włożył w prawą rękę. Łopata poleciała z szybkością strzały, obracając się w locie czterokrotnie. Ostrze z chrupnięciem odcięło kawał kory, ale nie wbiło się w pień.

– Nie powinienes ranić dębów – mruknął Stary, przeczesując długie siwe włosy związane w dziwny kok. – Dęby mówią. Też o tym, że nie lubią takich zabaw. Siedem dziesiątek i trzy...

Nic nie odpowiedzieli, znali tę przypawiającą o dreszcz gadkę. Ale o co chodziło najstarszemu z tymi siedmioma dziesiątkami, nigdy nie wytłumaczył, a i pewnie sam nie wiedział. Zaczęli kopać. Równo, spokojnie, sprawnie. Wybrali wolne miejsce na wprost dębu o trzech pniach. Przynajmniej Tatko mówił, że jest wolne, bo Stary – jak zwykle – nie pamiętał.

Łopaty z dębiny, o sztychach wielokrotnie ostrzonych i opalanych nad ogniem, były mocne niczym krzemień. Wchodziły w twardą ziemię równie łatwo jak w miękkie ciało.

2.

Kochana Mamusiu!

Piszę szybko, bo muszę już biec. Na obozie jest dobrze. Tylko koleżanki mnie nie lubią. Mówią, że mam za krótkie nogi, za ciemne włosy i za małe... no wiesz. Karmią nas dobrze. Tylko Birgit jest miła. Dwa razy w tygodniu jest mięso, a przed południem kopiemy. Ciężko jest, ale to chłopcy kopią najwięcej. Nudzę się. To znaczy na popołudniowych wykładach uświadamiających. Chociaż czasem na wykopie też. Ale tylko czasem. Ależ przystojni są nasi dwaj panowie archeolodzy... A te ich piękne, czarne mundury! Ale w mundurach nie kopią, kopią w innych ubraniach, też ładnych. *Herr Klaufigurtel* jest młody, miły i ma tak złote włosy jak wujek Fritz. A *Herr Doktor Friger* jest dostojny jak sam Führer, ale dużo wyższy. I uwielbia przemawiać.